

Parzych, Czesław

Kurp Gdański

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 10, 63-68

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czesław Parzych

KURP GDAŃSKI

Poeta z potrzeby serca, malarz z profesji - Józef Mieczysław Czychowski /używał zawsze drugiego imienia/ urodził się w setną rocznicę bitwy ostrołęckiej 26 maja 1931 roku w Dzbeninie Starym - wsi malowniczo położonej nad Narwią koło Ostrołęki. Był synem Stanisława, pochodzącego ze wsi Rafały koło Mamina i Wiktorii z Romaników z Dzbenina. Dom, w którym przyszedł na świat, zbudowany był z ubijanej gliny i jałowca, bardzo ciepły i suchy, ze strychem, będącym dla niego - dziecka jeszcze - najciekawszym miejscem - o czym sam wspominał z rozrzewnieniem po latach. Stał - na sposób Kurpiowski - szczytem do drogi, otoczony dużym wiśniowym sadem, zarosłym piołunami. Pełno było w nim uli i pszczelego brzęczenia od wczesnej wiosny. Ojciec, rolnik, miał gospodarstwo o powierzchni 24 ha /ziemię kupili niegdyś dziadkowie Mieczysława, Aleksander i Rozalia Romanikowie z parcelacji gruntów dworu Czarniejewskich/. Przez kilka lat kadencji był sołtysem, w okresie międzywojennym współzałożycielem „Strzelca” w swej wiosce. Członkowie tej organizacji upiększali teren, sadząc akacjowe drzewa wzdłuż drogi.

Obok domu, w którym się urodził przyszły poeta, malarz i rzeźbiarz /bo Mieczysław też rzeźbił/, stał drugi dom, duży, z bala budowany. Mieściła się w nim szkoła. W podwórku, obok budynków gospodarczych, stała niewielka stolarnia, gdzie jego dziadek, Aleksander Romanik, ule dla pszczoł wyrabiał w zimowe dni. Był to - jak Mieczysław go wspominał - chłop na schwał, służbę wojskową w Piotrogradzie odbywał, w kompanii reprezentacyjnej przy carze. Z lat dziecięcych, wspominał Mieczysław krzyż drewniany wśród brzoź stojący, na miejscu, gdzie niegdyś rośla sosna bartna, na której w 1863 roku powieszono 10 powstańców /obecnie stoi tam krzyż żelazny, ufundowany niegdyś przez Brzostka, brata Romanikowej - babki Mieczysława/. Około 1936 roku, Czychowscy przenieśli się na kolonię wsi Dzbenin, gdzie ojciec Mieczysława wybudował nowy dom drewniany. W 1944 roku, po żniwach, Niemcy spalili całą wieś Dzbenin oraz wycięli drzewa i krzewy, by oczyścić przedpole Narwi w celu taktycznych działań bojowych. Spalił się i dom Czychowskich.

Ojciec Mieczysława, Stanisław, pochodził ze wsi Rafały koło Sypniewa. W 1920 roku służył w ciężkiej artylerii, jako ładowniczy, szedł z Piłsudskim na Kijów, później był w konnej żandarmerii wojskowej. W 1939 roku walczył w Korpusie Obrony Pogranicza, w stopniu sierżanta. Dostał się do niewoli, uciekł z niej i szczęśliwie dotarł do domu w Dzbeninie. W czasie oku-

pacji był członkiem Związku Walki Zbrojnej, następnie Armii Krajowej. Współpracował z Wacławem Fidrychem - dowódcą plutonu AK Nakły - w ratowaniu jeńców. W ich domu ukrywali się uciekinierzy z robót przymusowych w Niemczech i osoby ukrywające się. Dom ten stał na skraju lasu, chroniony zakolem rzeki i w czasie okupacji stanowił bezpieczne miejsce dla akowskiej działalności. Mieczysław, chłopiec kilkunastoletni wówczas zaledwie, odwoził codziennie w kance mleko na kontyngent i robił wywiad, kiedy i u kogo we wsi byli Niemcy. Informacje, jakie zebrał, przekazywał ojcu. Po wojnie, w pierwszych burzliwych czasach, zginął tragicznie ojciec Mieczysława, w okolicznościach do dziś w pełni nie wyjaśnionych. Obecny dom, z czerwonej cegły, budował już stryj Mieczysława, Wojciech Czychowski ze wsi Rafały pochodzący, razem z jego matką Wiktoria /której został drugim mężem/.

Naukę w szkole podstawowej rozpoczął późniejszy poeta wówczas, gdy mieściła się ona jeszcze w ich domu. Na zeszytowych kartkach, na skrawkach znalezionej papieru, na starych ojca kwitariuszach podatkowych, ołówkiem szkicował ludzi, /sąsiadów/ i pejzaż ziemi rodzinnej: piaszczyste skarpy, pagórki z jałowcami, pola prześwietlone słońcem...

8 maja 1945 roku, z kolegą swym, poszli zbierać naboje do raketnic, podeszli pod wieś Korczaki. Tam nastąpił wybuch jednej z wielu rozłożonych w terenie min, z której zapalnik Mietek chciał wykręcić zbyt pośpiesznie... Uratował życie, stracił na zawsze prawą dłoń. Była to wielka tragedia dla kilkunastoletniego chłopca, tym większa, że marzył, by zostać malarzem. Z czasem jednak nauczył się żyć z tym brakiem, a jego gdańscy przyjaciele i znajomi w późniejszym czasie chętnie opowiadali anegdoty, jak to nieoczekiwanie użyteczną stawała mu się proteza w obronie własnej i ku trwałej przeszkodzie dla miejscowych żulików.

Ale było to już wiele lat później. Tymczasem Mieczysław ukończył w ostrołęckim gimnazjum tzw. małą maturę i przeniósł się do dwuletniego Liceum Plastyczno-Fotograficznego w Gdańsku-Orłowie. Po maturze i zdaniu egzaminów, został przyjęty do Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Sopocie /potem przeniesionej do Gdańska/. Studiował na wydziale malarstwa sztalugowego pod kierunkiem Krystyny Łady-Studnickiej, żony Juliusza Studnickiego - profesora tej szkoły. Była ona świetną pejzażystką - kolorystką, ze szkoły kolorystów - kapistów. W 1958 roku otrzymał dyplom tej uczelni i przyjęty został do Związku Polskich Artystów Plastyków¹. Wcześniej, w 1953 roku, z okazji Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży w Warszawie, otrzymał III Ogólnopolską Nagrodę w dziale malarstwa. W latach 1958 - 1962 brał udział w wy-

¹ Opracowano na podstawie wspomnień rodzinnych Mieczysława i jego siostry Zofii Sagalskiej oraz Wacława Fidrycha - dowódcy plutonu AK Nakły, z którym w czasie okupacyjnej działalności konspiracyjnej ojciec Mieczysława współpracował.

stawach zbiorowych w studenckim salonie „Żak”, w pierwszym salonie Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki - Dwór Artura i w wystawie okręgowej ZPAP.

Obok zainteresowań malarskich, w równej mierze pochłania go poezja. Debiutował w 1954 roku na łamach „Głosu Wybrzeża” wierszami pisanymi w czasie, gdy był uczniem Liceum Plastycznego. Wiele swych wierszy drukował w pismach studenckich i literackich. W 1956 - 1957 roku drukował w Almanachu Poezji i Prozy Młodych /wyd. „Iskry”/. W 1960 roku ukazał się debiutancki tomik jego wierszy „Miejsca wydrążone”, wydany przez Wydawnictwo Morskie w Gdyni. Utwory, które tam zamieścił w cyklach „Konstrukcje z kości” i „Sąd Ostateczny”, otrzymały nagrody na gdańskich konkursach literackich. Była to liryka pełna wewnętrznych napięć. W latach 1962/64 wiersze jego drukowane były w almanachu „Poeci pomorscy 1” i almanachu „Poeci pomorscy 2”.

Tak stawiał pierwsze kroki twórcze, zdobywał pierwsze sukcesy. I pierwsze satysfakcje. W liście slany 20 lutego 1965 roku z Gdańska-Oliwy do matki pisał: „Bardzo mi przyjemnie, że się cieszysz z tych moich małych sukcesów”. Ona - matka - pierwsza informowana była o jego osiągnięciach, słał do niej wycinki z gazet, w których wymieniano jego nazwisko. Cieszyła się i dumna była z niego, że wyrastał na indywidualność dużego formatu. Malował, pisał wiersze, reportaże, rzeźbił. Współorganizował też amatorski teatr studencki przy Akademii Medycznej i Politechnice Gdańskiej. Przez wiele lat był współpracownikiem miesięcznika „Litory”. Ilustrował i projektował książki swych kolegów, m.in. Bogdana Zbyszka Szymańskiego, Stanisława Dąbrowskiego, Mieczysława Stryjewskiego, Bogdana Wrocławskiego, Kazimierza Skrzydlińskiego... Wiersze swoje drukował w wielu publikacjach zbiorowych i na łamach prasy. Poza debiutem książkowym /„Miejsca wydrążone” 1960/, wydał tomiki wierszy: „Misterium na uboczu” /1966 rok/, „Progresje” /1968/, „Zapisywanie trenu” /1971/, wybór wierszy „Lasem, losem, skrajem życia” /1974/, „Krwia lamowane” /1979/, „Wiersze wybrane” /1985/ - wszystkie wydane przez Wydawnictwo Morskie w Gdańsku. Jeden tomik, ostatni, wydał w Klubie Literackim „Narew” w Ostrołęce. Za swą twórczość wielokrotnie wyróżniany, był laureatem nagrody „Czerwonej Róży”, nagrody „Pierścienia”, dwukrotnie otrzymał „Order Stańczyka”, w 1975 roku przyznano mu nagrodę wojewody gdańskiego, odznakę „Zasłużony działacz kultury” i „Złoty Krzyż Zasługi”. Od 1964 roku był członkiem Związku Literatów Polskich, w latach 80-tych skarbnikiem w Zarządzie Oddziału Gdańskiego ZLP. W 1994 roku otrzymał nagrodę wojewody gdańskiego za całokształt twórczości.²

² Na podstawie informacji uzyskanych od Mieczysława i posiadanych przez niego dokumentów oraz artykułów i informacji prasowych.

Mimo, że mieszkał i tworzył na Wybrzeżu, poezja jego tkwi korzeniami w krainie dzieciństwa, cała wywodzi się z ziemi rodzinnej, kurpiowskiej /wierszy „gdańskich”, w porównaniu do całej jego twórczości, jest niewiele/. *„Jestem i czuję się poetą miejsca. Miejsca mojego urodzenia - mówił zawsze. Jestem z nim związany uczuciowo. Tam mieszka moja matka, brat, siostra i przyjaciele”*. Powracał więc do matki, do otwartej szeroko przestrzeni pól i łąk dzbienińskich, do wysokiego błękitu nad Narwią i skowronka w nim klęczącego, do najbliższych, przyjaciół, Ostrołeki. I mimo, że kochał Wybrzeże, morze, gdańskie zaułki i tamtejszych przyjaciół mu serdecznych, że kochał jak potrafił najlepiej swych najbliższych, z którymi tam żył, zawsze jednak uważał, że bliższe jest „miejsce, w którym się wychowałem, miejsce dzieciństwa, które ukształtowało moją wrażliwość”.

W poezji Czychowskiego jest niepowtarzalna urokliwość i piękno. Łączy w niej ze sobą liryzm z ironią, powagę z dowcipem poetyckim - wszystko to złączone jednym wielkim pulsowaniem życia. Wiele w niej filozoficznej zadumy nad bytem, ciągłego dialogu ze światem. A wiąż jest w niej obecny człowiek, z całą złożonością swego losu, zagubiony w obojętnym, ba, jakże często wrogim świecie. *„Poezja dla mnie jest przede wszystkim artystycznym określeniem się wobec ludzi i czasu, w którym żyję. Także wobec historii”* - stwierdzał poeta.

Mimo tego, że w swej poezji tkwił głęboko korzeniami w krainie dzieciństwa, potrafił czynić ją dojrzałą, świadomą praw nieuchronnego przemijania i goryczy codziennego życia. Wciąż poszukującą prawdy i sensu dzisiejszego świata. Był malarzem słowa i poetą obrazu. Bo drugim, równorzędnym jego talentem było, jak zaznaczyłem, malarstwo. Połączenie tych dwóch pasji - poezji i malarstwa - dawało mu olbrzymie możliwości twórcze, pozwalało w pełni odbierać cały otaczający go świat, całe życie, poprzez własną wrażliwość i bogactwo barw swej duszy. *„Uważam, że to, co osiągnąłem w poezji, ma bliźniaczy profil moich poszukiwań malarskich - mówił o swych pasjach sam autor. - Rzeczą istotną dla mnie jest samoistne życie materii malarskiej obrazu, z całą jego skomplikowaną strukturą wnętrza /.../. Z liczby kierunków artystycznych, istniejących w literaturze i malarstwie, rzeczą najbardziej pasjonującą, jedynie słuszną i sensowną, jest radość i smutek << własnej podróży >> doświadczeń artystycznych, sprawdzonych życiem, i tych pozaartystycznych sprawdzających się w sztuce”*.

Mieczysław Czychowski z konieczności malował w technice pastelowej. Postacie /twarze/ i pejzaże - to główne tematy jego twórczości malarskiej. Postacie mają w sobie wiele poetyki i ludowości, łagodności, to znów zdziwienia, przechodzącego, a właściwie zmieszanego z niepokojem, z niewydobytym jeszcze z siebie krzykiem przerażenia. W pejzażach zaś ciągle się zmienia tonacja barw, sposób operowania nimi. Raz malowane zamasyście, to znów z wy-

ciszaniem, uspokojone, nasycone ruchliwością barw, przeglądające się w chłodnych błękitach albo wypoczywające w ciepłe kolorów. Często autor syci je wyłącznie własnym odczuwaniem przyrody, w pejzażach mazowieckich i kurpiowskich odtwarza pejzaż własnej duszy, utrwala ulotność spojrzenia i chwili.

Był też Mieczysław dzieckiem natury. Kochał otwarte przestrzenie pól i łąk, zieloną ciszę lasów. Widoczne to jest we wszystkich jego pejzażach, tych kaszubskich, żuławskich i tych rodem z Mazowsza, z Kurpi, z nad Narwi. Jego ulubionym poetą był Cyprian Kamil Norwid, któremu był bliski w nawiązywaniu do tradycji poetyckich - jak zauważono. Znał na pamięć zadziwiająco dużo jego wierszy, które recytował z upodobaniem przy każdej nadarzającej się ku temu okazji. Był bardzo towarzyski, otwarty na ludzi i otaczający go świat, na życie, które tak często raniło go boleśnie. W tłumie wyróżniała się jego masywna sylwetka o łagodnych, powolnych ruchach, ciągle w tym samym, z niedbałą fantazją noszonym płaszczu, z torbą - chlebakiem, przewieszoną przez ramię. Był też niezwykle dobronudnym gadułą, gawędziarzem wspaniałym, którego chętnie się słuchało, i z którym przy kuścyczku toczyło niekończące Polaków rozmowy. Miał w sobie coś, co jednało mu u wszystkich ogromną sympatię. „Jestem gdański Kurp” - mówił o sobie ten szeroko znany i wysoko ceniony poeta, malarz i rzeźbiarz /rzeźbił w kamieniu/. „Ty jesteś tam, w Gdańsku, ale jesteś stąd, bo tutaj pierwsze światło w twoje oczy. Kurpiowskie światło” - powiedział kiedyś do niego Stanisław Skolimowski - malarz i jeden z jego ostrołęckich przyjaciół.

W ostatnich latach życia coraz częściej i coraz bardziej ciągnęła go tęsknota tu, nad Narew, gdzie zawsze czekała na niego matka, serdeczna, troskliwa. I rodzinny dom z czerwonej cegły w cieniu starych wiśni, łąka soczysta i pole słońcem dojrzewające. Nurzał się w tym dzbenińskim, nadnarwiańskim krajobrazie, świtaniem szedł boso, w mgłami porannymi otulony pejzaż dzieciństwa, zrywał dmuchawce i rzucał na wiatr, po miedzach snuł delikatną przedzę wspomnień. Matka otaczała go zawsze ciepłem rodzicielki, oczyszczała z goryczy życia, była źródłem siły. To jej miłość matczyna uciszała jego ból, pomagała mu, przygniatanemu ciężarem życia, codzienności, dźwigać się ku słońcu, ku radości. Przy niej, spracowanej wiejskiej kobiecie, czuł się jak dziecko bezpieczny, uspokojony i ufny, pił spienione porannym udojem mleko i cieszył się każdą chwilą. Ale któregoś dnia matka odeszła ścieżką szczęśliwego wędrowania. Dom rodzinny stał się pusty, zapadała w nim coraz głębsza cisza. Błąkał się tylko jego żal i wspomnienia. Toteż bardzo boleśnie przeżył jej odejście, zagubił się w swej bezradności. Szybko jednak odkrył, że ona ciągle jest obecna w ich domu, wśród sprzętu, w wiśniowym sadku za oknem, że jak zawsze ciągle czeka na niego. Toteż znów z wielką nadzieją przyjeżdżał do swego domu w Dzbeninie; niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Mamo

moja - mówił do niej, siadał w starym fotelu w pokoju po słonecznej stronie i rozmawiał z nią, skarżył się i przedstawiał jak przedtem swe żale, pokazywał okaleczenia i rany, patrzył na sad za oknem, a ona, matka, poprzez ciszę domu, poprzez świergot ptaków w sadzie, znów leczyła rany jego życia...

Ale oto niespostrzeżenie kończyło się lato 1995 roku, jesień wolno wypełniała chłodem przestrzeń i kąty Mietkowego domu w Dzbeninie. - *Dobrze by było, bym mógł posadzić jeszcze przed mrozami ze dwie czereśnie w sadzie i śliwki węgierki - opowiadał mi z przejęciem i troską o swych najbliższych zamierzeniach. - Na wiosnę posieję w ogródku przy domu rzodkiewkę, cebulkę, w cieniu drzew posiedzę, pomaluję trochę, popiszę, sąsiadów odwiedzę... - rozjaśniał się wewnątrz na samo wspomnienie tego, że z wiosną na stałe osiedli się w rodzinnym domu. - Ale jakże mam to uczynić, skoro blat kuchni ciągle zimny i piec wystygły boli jak rana pod łopatką po przebytej wiosną operacji?* - frasował się zaraz. - Jak uspokoić serce? Skąd brać soki żywotne? A wszystko stawało się coraz bardziej trudne, bo za matką odszedł jego brat Czesiek, sąsiedzi zza miedzy, koledzy z dzieciństwa, było mu gorzko, ginęło coraz więcej przyczółków... Jako bezpieczny azyl pozostawał dom siostry Zofii, koledzy „Narwiacy”, kilku przyjaciół serdecznych, urokliwa cisza - jak sam określał - biblioteki Muzeum Okręgowego, gdzie przy filiżance herbaty lub kawy - przeglądając albumy malarstwa, wchodził w tam bliski mu świat obrazów i barw.

Choroba coraz częściej dawała mu się we znaki, ból potęgował się, był coraz silniejszy. Ostatnie swe spotkanie autorskie miał 6 listopada, zorganizowane przez Ogólnopolskie Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych im. C.K. Norwida. Ze spotkania, słaby już i cierpiący, pojechał prosto do ostrołęckiego szpitala. Pojednany z Bogiem przez sakrament pokuty i Komunię świętą, opuścił szpital i po pobycie w domu siostry, odwieziony został do szpitala w Gdańsku. Tam zmarł 23 stycznia 1996 roku o godzinie 19²⁵. 26 stycznia powrócił do rodzinnego domu w Dzbeninie, skąd - po nabożeństwie żałobnym w kościele rzekuńskim - odprowadzony został na cmentarz parafialny i spoczął w grobie ze swą matką.

*Panie, który raną przebitego boku
nadzieję otwierasz - odpuść nasze winy,
bo Ty jesteś światłem w okrucieństwie mroku
a my jesteśmy z Ciebie - do Ciebie wrócimy*

- pisał w wierszu poświęconym pamięci księdza Jerzego Popiełuszki. I odszedł tam, skąd przybył - w otwartą nadzieję...

Przeszedł do historii literatury i kultury polskiej, jako wybitny twórca.